

Koszmar z ulicy związkowej

19 lipca 2014

Silne związki zawodowe gwarantują równowagę między kapitałem i pracą, która jest podstawą stabilnego, zrównoważonego wzrostu oraz powszechnego dobrobytu. Masowy strajk brytyjskiego sektora publicznego to walka o lepsze warunki zatrudnienia i płace także dla innych pracowników.

Komunikacyjny chaos towarzyszący zazwyczaj wielkim, masowym protestom dla mieszkańców metropolii i stolic, w których odbywają się strajki, może być uciążliwy. Ci, którzy każdego dnia stoją w korkach na zatłoczonych ulicach, co powoduje silny stres i irytację, na doniesienia o planowanych protestach reagują alergicznie. Nieprzejezdne ulice, żółwie tempo podróży, tłok, objazdy powodują, że mieszkańcy wszystkich stolic świata do akcji protestacyjnych nie pałają większą sympatią. Ale te kilka godzin miejskiego paraliżu to niewielka cena, którą warto zapłacić za ewentualne długofalowe efekty protestów. Bo formułka powtarzana jak mantra przez środowiska przedsiębiorców i chętnie cytowana przez media, mówiąca o tym, że związkowcy myślą tylko o własnych interesach i stołkach, to mit. Co gorsza – mit szkodliwy społecznie.

Związki zawodowe są niezbędnym elementem regulacji rynku pracy. Działają jako przeciwwaga dla przedsiębiorców dążących do maksymalizacji swoich zysków. Kiedy nie napotykają oni oporu, rosną koszty społeczne przerzucane na społeczeństwo i państwo. Od chorób zawodowych, przez kryzys demograficzny, na „biedzie pracowniczej” skutkującej patologiami społecznymi kończąc. Związki są od tego, żeby interes przedsiębiorców był ograniczany przez interes pracowników. Dopiero wypadkowa, względna równowaga może reprezentować interes publiczny oraz dodatkowo długofalowy interes samego przedsiębiorstwa. W teorii państwo, czyli rząd, jest od tego, żeby ten odwieczny i naturalny spór regulować w ten sposób, aby żadna ze stron nie osiągnęła znaczącej przewagi. Bo zbyt silne związki zawodowe,

które skutecznie walczą o płace i przywileje pracownicze, mogą być szkodliwe dla całej gospodarki. Zbyt silna pozycja przedsiębiorców skutkuje zaś katastrofą społeczną i zdziczałym rynkiem pracy. W Wielkiej Brytanii biznes od lat jest na pozycji uprzywilejowanej, a co gorsza, rząd swoją retoryką i polityką tę pozycję jeszcze wzmacnia.

APATIA BIEDNYCH

W sektorze prywatnym związkowcy nie mogą już wiele ugrać. Pracownicy sektora publicznego to dziś na Wyspach ostatni bastion związkowej siły. Dlatego też w zeszły czwartek udało się zebrać tak wiele osób. Nauczyciele, pracownicy służby zdrowia, administracji i straży pożarnej zorganizowali największy strajk na Wyspach od trzech lat. Wzięło w nim udział kilkaset tysięcy osób. Nauczyciele protestowali przeciwko niskiej płacy, rosnącemu obciążeniu obowiązkami i pogorszeniu warunków odprawy emerytalnej. Pracownicy brytyjskiej służby zdrowia przeciwko cięciom budżetów szpitali oraz postępującej prywatyzacji NHS skutkującej coraz niższym standardem świadczeń zdrowotnych. Pracownicy innych sektorów przeciwko ograniczeniu przyrostu płac do 1 proc. rocznie po dwóch latach ich zamrożenia, co przy obecnej inflacji oznacza realny spadek wartości ich wynagrodzeń. Protest unieruchomił całkowicie ponad 3 tys. szkół i sparaliżował lokalne władze samorządowe. Zwłaszcza w środkowej i północnej Anglii.

Do strajku przyłączyli się także pracownicy biura paszportowego, administracji sądowej, zakładów oczyszczania miasta i londyńskiego transportu. Masowość protestu nie dziwi. Zastanawiające jest tylko to, że Brytyjczycy na ulice wyszli tak późno.

Napływające koszmarnie dane z brytyjskiego rynku pracy teoretycznie powinny skutkować protestacyjnym piekłem. Najdłuższy w historii Zjednoczonego Królestwa spadek wynagrodzeń, obniżka realnych płac sektora publicznego o 20 proc. oraz – mimo rządowych formułek o tym, że praca jest

najlepszą drogą na wyjście z ubóstwa – wzrost liczby „pracujących biednych”. Dziś według raportu The Joseph Rowntree Foundation z 13 mln Brytyjczyków żyjących w ubóstwie ponad połowa pracuje. Rośnie liczba pracowników tymczasowych, kontrakty „zero hour” oraz przymuszanie do „samozatrudnienia” zaczynają dominować zarówno w sektorze prywatnym, jak i w sektorze publicznym, zachęcanym i zmuszanym do korzystania z usług firm zewnętrznych pozbawiających pracowników podstawowych praw. Do tego jeszcze 80 proc. miejsc pracy powstałych w ostatnich trzech latach to tzw. prace śmieciowe, w których godzinowe wynagrodzenie nie przekracza ośmiu funtów. Wszystko to skutkuje tym, że w zamożnej Wielkiej Brytanii w ciągu ostatnich 30 lat realne dochody tych znajdujących się na najniższym szczeblu drabiny społecznej spadły o 25 proc. Ci znajdujący się na szczycie (1 proc. społeczeństwa) zwiększyli zaś swoje zarobki o 50 proc.

W UK żyje dziś ponad 10 mln osób, których zarobki nie przekraczają 15 tys. funtów rocznie, a zaledwie 25 proc. społeczeństwa osiąga dochód przekraczający 30 tys. Czas powinien być rewolucyjny, ale jak dotąd panowała powszechna apatia i pogodzenie z losem. Strajk sektora publicznego może to zmienić.

SZCZEPIONKA NA PRACOWNICZĄ ZAPASĆ

Dla rządzących konserwatystów przebudzenie Brytyjczyków to polityczny problem. Dlatego też premier David Cameron na strajk zareagował ostro, otwarcie wypowiadając związkom zawodowym wojnę. Zapowiedź ograniczenia ustawowej dopuszczalności strajków to jawna konfrontacja. – Nadszedł czas, by spróbować ustalić progi w głosowaniach związkowców nad strajkiem – powiedział w Izbie Gmin. Przypomniał też, że akcja protestacyjna związku zawodowego nauczycieli została przegłosowana przy zaledwie 27-procentowej frekwencji. Cameron sprecyzował, że projekt ustawy w tej sprawie znajdzie się w programie jego partii przed wyborami parlamentarnymi w 2015 r. Dodatkowym ograniczeniom proponowanym przez Camerona

podlegałoby prawo do strajku pracowników sektora publicznego.

Usługi uznane za społecznie istotne, np. publiczny transport, nie mogłyby być kompletnie sparaliżowane i musiałyby funkcjonować przynajmniej na minimalnym poziomie. Obecnie temu ograniczeniu podlega tylko policja i straż pożarna. Z tej konfrontacji szef rządu może jednak wyjść politycznie poturbowany. Nałożenie smyczy na karki związkowców może spodobać się mieszkańcom Londynu, którzy dopingują Borisa Johnsona w walce ze związkowcami metra, ale na szerszy społeczny aplauz torysi nie mogą liczyć.

Mimo usilnych prób zdyskredytowania związków zawodowych przez polityczne elity i większość brytyjskich mediów cieszą się one wciąż wysokim społecznym poparciem. 78 proc. uważa, że są niezbędne do obrony praw pracowniczych. Nawet tzw. związkowi baroni cieszą się większym społecznym zaufaniem (41 proc.) niż politycy (18 proc.) i przedsiębiorcy (33 proc.). Mimo stałego podkreślania agresji i ekstremizmu związkowców 60 proc. Brytyjczyków nie uważa ich za niebezpiecznych. Większe zagrożenie widzi się raczej w wielkim biznesie (43 proc.).

Być może społeczeństwo intuicyjnie wyczuwa to, co ostatnio udowodnili naukowcy. Według raportu „Unions, Norms, and the Rise in U.S. Wage Inequality” opublikowanego przez Uniwersytet Harvarda słabość związków zawodowych powoduje wzrost nierówności społecznych. Fakt, że stoi przed nimi nowe wyzwanie: jak uzwiązkować rzeszę pracowników sektora prywatnego i jak skutecznie działać w XXI wieku, kiedy wielkie zakłady i zorganizowane załogi są pieśnią przeszłości. Związki zawodowe muszą przeorganizować swój model, aby pozyskać rosnącą armię niewykwalifikowanych pracowników. Kiedyś budowały swoją potęgę w centrach wielkoprzemysłowego proletariatu. Nie mogą tej siły zachować, kiedy praca jest rozproszona. To efekt globalizacji oraz indywidualizacji. Jednak to wysiłek, który związkowi przywódcy muszą wykonać. Nie tylko by samemu przetrwać, ale też by uchronić brytyjski rynek pracy przed całkowitą degrengoladą.

Dlatego też strajk sektora publicznego jest tak istotny. Może zainspirować i dodać odwagi wszystkim tym, którzy słono płacą za kryzys wywołany przez świat finansjery i podtrzymywany przez rząd Camerona.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)